Tom XVII. Nr. 4.

1. sierpnia 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Franciszek Seraficki.

Jest siedmiu świętych Franciszków, a wszyscy wsławili się wielkiemi cnotami za życia a cudami po śmierci. Pierwszym świętym tego imienia był święty Franciszek z Asyżu albo Seraficki, co jedno jest, bo i tak i tak zowią tego świętego.

Święty Franciszek z Asyżu był synem bogatego kupca w temże mieście, w kraju włoskim, otrzymał na chrzcie św. imię Jan i dopiero później nazwany został Franciszkiem, jedynie dlatego, że był bardzo biegłym w języku francuskim.

Święty ten w młodości swojej prowadził życie bardzo lekkomyślne ku wielkiemu zmartwieniu swoich rodziców i całej rodziny, a żadne napomnienia poprawić go nie mogły. Przestawał ze złymi towarzyszami i dopuszczał się różnych zdrożności choć nawet był już w tym wieku, w którym sam rozum pokazuje człowiekowi co jest złe, a co dobre. Aż oto nawiedził go Pan Bóg ciężką chorobą, która prawie cały rok trwała. Przyszedłszy szczęśliwie do zdrowia, zmienił się nagle nie do poznania. Już nietylko żadnych nie popełniał lekkomyślności ale owszem stał się dziwnie pobożnym i cnotliwym. Gardził świa-

tem i jego rozkoszami, żył w samotności trawiąc czas na rozpamiętywaniu nauk i męki Pana naszego Jezusa Chrystusa, odwiedzał i doglądał chorych, pocieszał więźniów. Nakoniec powróciwszy raz z kościoła, gdzie się wielce zbudował kazaniem pewnego pobożnego księdza, postanowił prowadzić odtąd życie pustelnicze. Jakoż rozdał zaraz wszystko co miał, ubogim, a przyodział szatę z grubego sukna z kapturem, przepasał się sznurem i osiadł w maleńkiej chatce w lesie, niedaleko rodzinnego miasta. Odtąd żył jak pustelnik i utrzymywał się tylko z jałmużny którą go ludzie pobożni wspierali.

Niedługo zwiedzieli się wszyscy o świątobliwem życiu Franciszka i znalazło się kilku księży, którzy go chcieli naśladować. Ci poszli do niego i za jego pozwoleniem zamieszkali z nim, a on był im wzorem i przykładem. Wszyscy żyli pobożnie, wielbiąc Boga i pracując nad zbawieniem duszy, a ponieważ wyrzekli się wszystkiego co niegdyś posiadali na świecie, żyli tylko z jałmużny.

Z każdym rokiem coraz więcej towarzyszów przybywało świętemu Franciszkowi. Gdy ich już było dziesięciu, święty Franciszek ułożył na piśmie regułę zakonną, to jest przepis jak się mają zachowywać i żyć, aby się mieli czego trzymać, gdy jego Pan Bóg do siebie powoła, a zalecił im w tej regule największe ubóstwo i zupełne wyrzeczenie się wszelkiej własności, tak aby żaden nic nie posiadał, coby się jego własnem nazywać mogło. Napisawszy regułę, udał się do Rzymu do ojca św. papieża Innocentego i prosił aby ją ojciec św. zatwierdził, ale papież nie znając jeszcze św. Franciszka i nie ufając mu, odmówił jego prośbie. Dopiero później przychylił się do życzeń św. Franciszka i zatwierdził regułę, ale i to nie pisemnie, lecz ustnie co nie było dostatecznem.

Ale św. Franciszek uradowany że ojciec św. przynajmniej nie potępił jego reguły, powróciwszy do domu, rozesłał zaraz braci zakonnych do różnych miast włoskich, aby tam zakładali klasztory i sam ich kilka założył, a potem chciał popłynąć do Afryki, ale w drodze zachorował.

Odtąd zakon przez niego fundowany wzrastał coraz bardziej i coraz więcej zyskiwał przyjaciół i zwolenników, co widząc papież Honoryusz zatwierdził go pisemnie.

Święty Franciszek stawał się coraz świątobliwszym. Na dwa lata przed śmiercią objawił mu się Pan Jezus. Raz widział także w zachwyceniu anioła Serafina i odtąd nazywano go Franciszkiem Serafickim. Umarł dnia 4. października 1226 roku w pustelni pod Assyżem, a w dwa lata później policzony został w poczet świętych przez papieża Grzegorza dziewiątego, temu lat sześćset pięćdziesiąt.

Od imienia św. Franciszka, nazwano jego braci zakonnych Franciszkanami; od nich pochodzą Bernardyni, Reformaci i Kapucyni.

Litania do Matki Boskiej.

Święta Maryo! Matko Chrystusowa!
Panno przeczysta! łaskawa i wierna!
Usłysz rzewliwej prośby naszej słowa!
Matko najmilsza bądź nam miłosierna!

Gdy w złej przygodzie rady nam potrzeba,
A nie poradzi żadna dusza żywa,
Radę skuteczną racz nam zesłać z nieba,
O Ty stolico mądrości prawdziwa!

Gdy bez sił padniem, znużeni, złamani,
Ciężką przez życia pustynię podróżą,
Osłoń litośnie cierń każdy co rani!
Cudownem kwieciem, o duchowna różo.

Gdy sroga niemoc rzuci nas na łoże,
Gdy jękiem każde naszych piersi tchnienie,
Gdy nic już ulgi przynieść nam nie może,
Ty nas podźwignij, chorych uzdrowienie!

Gdy ciągną tłumy pokus niezliczone,
Gdy w nich nam wieczna zguba już gotowa,
Ty daj bezpieczną przed niemi ochronę,
Ty bądź nam twierdzą, wieżo Dawidowa

Gdy w niebezpieczeństw bezdennej powodzi
Łódź naszą miota burza nieustanna,
Gdy przystań w mroku a słońce nie wschodzi,
Oświeć nam drogę, o gwiazdo zaranna!

Gdy sprawiedliwym gniewem Bóg zapłonie
I strasznej kary zbliży się godzina,
O Matko nasza, spiesz nam ku obronie!
Ratuj nas, grzesznych ucieczko jedyna!

Kiedy ze szczęścia ziemskiego wyzuci,
Stracim pociechę i otuchę wszelką,
Niechaj przez Ciebie radość nam się wróci,
Ty utrapionych bądź pocieszycielką!

Wśród wszelkich życia naszego kolei,
W trwodze, zwątpieniu, smutku i chorobie,
Bądź źródłem męztwa, wiary i nadziei.
Obronicielką ufających w Tobie.

Adam Pług.

O Szymonie co źle syna wychował.

Wieczór był ciepły i pogodny. Lubił takie wieczory ksiądz Franciszek, proboszcz w Żarnowie, toż jak się tylko słońce spuszczać zaczęło, wyszedł na przechadzkę. Zazwyczaj tak on te przechadzki odbywał, że najprzód szedł na cmentarz gdzie spoczywała jego matka, tam na jej grobie pomodlił się, podumał, a potem puszczał się gościńcem ku wsi i doszedłszy do której z chat przydrożnych, odpoczywał tam chwilę na ławeczce przed domem, albo i na murawie; wypocząwszy, wracał tą samą drogą na plebanię. Gospodarze żarnowscy szanowali bardzo księdza Franciszka i każden miał sobie za wielkie szczęście, gdy przed jego domem odpoczął — a dzieci to na kilka godzin przed wieczorem myły ławeczki i przygotowywały dla Jegomości.

I dziś także, podług swego zwyczaju, ksiądz Franciszek idąc na przechadzkę, wstąpił na cmentarz, ukląkł i mówił pobożnie Anioł pański, gdy oto usłyszał po za sobą płacz wielki i narzekanie. Skończywszy modlitwę, obejrzał się i spostrzegł klęczącego na mogile siwiuteńkiego staruszka, wynędzniałego

i bardzo licho odzianego. Smutno to patrzeć na łzy ludzkie, ale najsmutniej, gdy je wylewa starzec pochylony wiekiem. Toż i ksiądz proboszcz tknięty litością, pośpieszył zaraz ku płaczącemu staruszkowi, aby go zapytać czego tak zawodzi i pocieszyć po chrześcijańsku — ale przypatrzywszy się mu lepiej, cofnął się nagle z wielkiem zdziwieniem i wykrzyknął:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!.. Czy to wy Szymonie, czy mię oczy zwodzą?

Staruszek się podniósł, skłonił się księdzu.

— Ja to jestem, proszę Jegomości — rzekł ocierając oczy z łez — jeszcze mię nosi święta ziemia, choć wolałbym żeby mię już przykryła i co dzień o to proszę Pana Boga.

— Cóż się z wami dzieje? gdzieście bywali przez te lata ża ani słychu o was nie było? Oj, bieda koło was, jak widzę, i coś podstarzeliście się okropnie...

— Oj bieda Jegomość, wielka bieda! Bóg mię strasznie pokarał... Wiedzą Jegomość com tu stracił, boć sami trzy pogrzeby sprawili... Czegoż tu miałem siedzieć? Poszedłem w świat, szukać mojego Walka jedynego i włóczę się za nim z kąta w kąt, a znaleść go nie mogę.

— To jeszcze Walek.. jeszcze Walek! Oj Szymonie Szymonie, a co ja zawsze mówiłem?

— Jegomość, wybaczcie; Jegomość wiedzą swoje, a ja swoje; to było moje najmilsze dziecko.. onby mię dziś pocieszył starego, onby mi nagrodził za to wszystko com przecierpiał.

— Oj nie... Szymonie, on by was do grobu wpędził. Proście raczej Boga, aby wam nie dał nigdy z nim się spotkać. Chybabyście chcieli wymodlić u niego żeby się poprawił, ale to już za późno! trzeba było dawniej, dawniej... póki był dzieckiem. Pamiętacie com się z nim napracował? a na co się to zdało?

— Jegomość, nie rozdzierajcie mi serca... on zawinił, to prawda, ale nie tyle co ludzie mówili — a jeżeli jeszcze żyje, to pewnie nie zapomniał com mu świadczył, jakem go kochał, com poświęcił dla niego.

— Tak, poświęciliście dla niego na hulankę całe gospodarstwo, poświęciliście żonę a jego matkę, co z nędzy i zgryzoty

umarła i dwie córki sieroty, co wkrótce poszły za matką, ale mój Szymonie, takie poświęcenie to przekleństwa warte a nie wdzięczności.

— Święte słowa Jegomości; ja to wszystko czuję i wiem żem go źle wychował; zamiast powściągać pobudzałem go do grzechu, zamiast dobry przykład dawać, dawałem najgorszy. Rozhulał się, rozpił, mnie to cieszyło, że on taki chwat! dogadzałem mu... ciągnąłem się z ostatniego, byle jemu nie zbywało na niczem, aż w końcu żyd zabrał grunt za długi, jeno chałupa została i gołe ściany... żona się rozchorowała, nie było ratunku; taj cóż miał robić mój Walek, jeżeli nie pójść w świat?

— Oj był ratunek jeszcze — zawołał żywo ksiądz proboszcz — trzeba było opuścić złą drogę, a wezwać Boga na pomoc i wziąść się do pracy; ale Walek jak zobaczył że grunt zabierają i rodzice będą musieli iść o żebranym chlebie, nie czekał, jeno drapnął co prędzej.

— Tak, tak, źle zrobił; wiem ja o tem, toż przed chwilą kiedym się tu przywlókł na grób żony i dzieci a to wszystko rozważył, ledwo mi serce z żalu nie pękło... ale przecie tak sobie jeszcze myślę, że gdybym Walka odszukał...

— Daj wam Boże, ale mnie się zdaje że jeszcze pożałujecie tego spotkania

— Jegomość tak mówią — odezwie się Szymon — jakby coś o nim wiedzieli. Dla Boga Jegomość, jeżeli coś wiecie, to się zmiłujcie a powiedzcie. Ja już nad grobem stoję, pójdę niedługo na sąd boski... a już niczego nie pragnę i nie chcę innej pociechy, jeno abym go choć raz jeszcze przed śmiercią obaczył.

— Kilka miesięcy temu — rzecze ksiądz, — jak czytałem w gazecie że był posądzony o morderstwo.

— To fałsz! — krzyknie Szymon — Jegomość, to straszny fałsz! a kto go posądził, będzie za to ciężko odpowiadał przed Bogiem.

— Być może, bardzo być może; nieraz się to zdarza że niewinnego posądzą fałszywie, ale Bóg ma w opiece takich biedaków i żadnemu włos z głowy nie spadnie.

— A gdzieby to się popytać o niego? gdzie on siedzi?

— Wówczas siedzał w Rzeszowie.

— Jegomość, niech was Bóg stokrotnie nagrodzi, ja zaraz dziś pójdę do Rzeszowa.

— Niech was Bóg prowadzi — rzekł ksiądz; dobył z kieszeni kilka groszy i wetknął staremu w rękę.

Rozeszli się. Szymon skłonił się księdzu i poszedł w górę, a ksiądz na dół ku wiosce.

Biedny starzec rozmyślając o synu szedł drogą smutny. Odwrócił oczy od miejsca gdzie stała jego chata, dziś własność żydowska, odwracał się od pobliskiej karczmy. Z karczmy zalatywał go gwar, zdawało się mu że poznaje głosy gospodarzy żarnowskich, dawnych swoich towarzyszy i sąsiadów. Rzucił okiem w tę stronę. Stały tam wozy napełnione jakiemiś ludźmi w szarych sukmanach i żołnierzami, a wójt kręcił się koło wozów, bo właśnie przystawił podwody. Szymonowi aż pociemniało w oczach, toż i jego Walek siedzi na wozie między drugimi. Wzrok ma dziki, zmieniony, twarz jego ogorzała, ale rysy te same. Szymon osłupiał, jakby go przykuł do miejsca, kroku postąpić nie mógł.

Ludzie co stali przed karczmą, poznali także Walka i przypatrywali się mu, a nie było tam ani jednego, któregoby oko, na widok dawnego hulaki siedzącego na wozie pomiędzy żołnierzami, nie zaszło łzą. A jedna z kobiet to tak boleśnie zawodziła płaczem że aż i Walek się obejrzał i utkwił w nią dziki swój wzrok. Snać nie mogła już dłużej znieść tego widoku, bo się zabrała i poszła — a gdy przechodziła koło wozu Walek nachylił się ku niej i szepnął z cicha:

— Chrzestna matko, ani słowa nie rzekniecie do mnie?

Ona mu podała bochenek chleba i kilka groszy, ale nie rzekła ani słowa i odeszła zawodząc gorzko.

Wówczas i Szymon nie mógł już dłużej wytrzymać, podbiegł do wozu i wyciągając ramiona zawołał:

— Walku! Walku! przecież cię znalazłem!

Walek popatrzył na starca, zasępił czoło.

— Walku, dziecię moje jedyne, ty nie poznajesz starego ojca?

Ale Walek nie okazał uciechy na widok ojca; starzec się zasmucił i spomniał sobie słowa księdza proboszcza.

— Znaleźliście mię — rzekł w końcu do ojca — może po to aby mnie kusić znowu do hulanki, do kieliszka.,. może wam się zdaje żeście mię jeszcze mało nauczyli jak się świata używa!

Zadrżał Szymon usłyszawszy te słowa, a Wâlek mówił dalej:

— Ojcze, ojcze! patrz jak mnie wychowałeś! twoja to sprawa! Pamiętasz jak mię wiodłeś do karczmy kiedym był jeszcze dzieckiem, jak mię uczyłeś pić wódkę i skakać przy muzyce? pamiętasz jak biłeś matkę, gdy ci to wytykała, lub mię napędzała do pracy? Pamiętasz to wszystko — O! niech ci to Bóg przebaczy! niech ci tego nie pamięta w ostatniej godzinie życia!

— Synu! — jęknie Szymon — jam wszystko poświęcił dla ciebie, jam o siebie nie dbał żebyś ty miał dosyć — dziś żebrakiem jestem przez ciebie, a ty mi jeszcze wyrzucasz?

— Ty ojcze jesteś żebrakiem — wykrzyknął Walek — a ja...

Podniósł się groźnie na wozie, wyciągnął skute ręce i zadzwonił ojcu kajdanami nad uszyma.

— A ja mordercą!

Starzec się zatoczył, jęknął boleśnie, krew mu do głowy nabiegła, oczy słupem stanęły. Chciał coś mówić, ale język bełkotał tylko niewyraźne słowa. Obecni patrzyli nań z litością, a jednak każden czuł że Walek miał prawo narzekać na ojca. Nakoniec Szymon spojrzawszy jeszcze raz z wielką boleścią na syna, postąpił kilka kroków jakby chciał odejść, ale nagle drgnął na całem ciele i upadł.

Poskoczyli ludzie aby go ratować a i w Walku jakoś nagle odezwało się wrodzone uczucie, żołnierze nie bronili, wyskoczył więc z wozu i z wielkim płaczem rzucił się na ojca, którego serce już przestawało bić.

— Tatusiu, tatusiu — wołał Walek — popatrzcie na mnie jeszcze raz, przebaczcie, pobłogosławcie... mnie cały świat złorzeczy, cały świat odwraca się odemnie, szydzi i urąga... o mój tatusiu! przebaczcie... przebaczcie! Ja wiem że wy mi dogadzali ze zbytniej miłości... już wszystko przepadło, już się nie wróci, mnie tracić będą niedługo, niechże mi sumienie nie wyrzuca, żem i was o śmierć przyprawił.

Żołnierze otoczyli Walka i stali z wymierzonemi w niego bagnetami, bo się bali aby w tłumie nie umknął, a nie mieli serca oderwać go od umierającego ojca.

Ale to wszystko nie długo trwało. Starzec raz jeszcze otworzył oczy, zrobił ręką krzyż w powietrzu na znak przebaczenia i skonał.

Ludzie pozdejmowali kapelusze, pouklękali i mówili modlitwę. I Walek ukląkł także ale się nie modlił jeno jęczał głosem serce rozdzierającym.

— Nie umiem pacierza... nie umiem się modlić!

Aż litość brała na taki widok.

Właśnie w tej chwili ksiądz proboszcz wracał z przechadzki. Ujrzawszy zbiegowisko przed karczmą, zatrzymał się i wkrótce dowiedział się o wszystkiem Pośpieszył więc z pomocą, ale tak duchowna jak i wszelka ludzka pomoc była już spóźniona. Pomimo tego proboszcz zakręcił się koło umarłego, wydawał jakieś rozkazy a żołnierze tymczaszem odciągli Walka, wsadzili go na wóz i ruszyli.

Ksiądz proboszcz zabawił chwilę przed karczmą, a gdy już wracał ku plebanji i przechodził koło cmentarza, postrzegł tam te same wozy ze złoczyńcami, które niedawno widział przed karczmą i poznał po głosie Walka, błagającego żołnierzy aby mu pozwolili odwiedzić grób matki. Żołnierze nie chcieli pozwolić, bo się bali zapóźnić, a już mrok był szary.

Ksiądz zbliżył się do wojaków, wetknął jednemu i drugiemu po kilka groszy i przemówił im do serca że nakoniec zmiłowali się nad biednym więźniem.

A Walek ujrzawszy księdza, rzucił się mu do nóg, rył ziemię czołem i jęczał. Podniósł go ksiądz, zapłakał także, a położywszy ręce na jego głowie, rzekł wzruszonym głosem:

— Matka już z grobu nie wstanie, ojciec się nie zbudzi, młode lata nie wrócą, co się stało już się nie odstanie; ale Bóg widzi twoją skruchę, słyszy twój płacz, ufaj mu, bo nieprzebrane jest miłosierdzie Jego.

Stanisław Krakowczyk.

Król Łokietek bije Krzyżaków pod Płowcami.

Małego był wzrostu król polski Władysław, tak że aż go przez to Łokietkiem nazwano, ale za to był wielkim z rozumu i odwagi. Dzielny wojak, wojował prawie do ostatniej chwili życia, a najwięcej z Krzyżakami, co to byli niby zakonnicy, a przecie żołnierze, niby świątobliwi, a przecie gorsi od największych złoczyńców. Polacy wpuścili ich do swego kraju z dobrego serca, dając im kawał ziemi nad morzem aby tam mieli przytułek, a oni zamiast się odwdzięczyć za gościnność, radzi byli całą Polskę zagarnąć pod swoją władzę, i co ich trochę król Łokietek poskromił, to oni znowu podnosili głowę.

Król będąc już w wieku podeszłym, bo miał siedmdziesiąt lat, pragnął wypoczynku i spokoju, ale się go nie mógł doczekać. Wichrzyli nieprzyjaciele, wichrzyli też i swoi, a najwięcej jeden wojewoda, nazwiskiem Wincenty z Szamotuł. Padło na niego podejrzenie że zdradza, że się układa z Krzyżakami o rozebranie Polski; król się o to bardzo rozżalił, Wincentemu urząd odebrał, on zaś czemprędzej uszedł do Krzyżaków i począł ich namawiać i podburzać żeby na Polskę napadli.

Im w to graj! Nie trzeba ich było długo namawiać. Zaraz się do wojny przysposobili, a Wincentemu oddali dowództwo nad jednym oddziałem. Jak wpadli do Polski, to przez dwa miesiące ogniem i mieczem pustoszyli różne wsie i miasta, nie przepuszczając kościołom i klasztorom, chociaż sami byli niby zakonnicy. Król Łokietek nie miał tyle wojska żeby mógł wyjść naprzeciwko nieprzyjaciela i zgnieść go jednym zamachem, ale podjazdami urywał go ciągle po trochu i dobrze dał się mu we znaki. Nakoniec stanął Krzyżakom oko w oko pod Płowcami.

Aż w tem ozwało się sumienie w Wincentym; widząc ile złego Polsce, ojczyźnie swojej wyrządził, zapłakał gorzko nad swą własną sprawą, i postanowił wynagrodzić to złe o ile się da, i pomódz Łokietkowi do zwycięztwa nad Krzyżakami. Pewnej nocy więc wymknął się przebrany i przybył tajemnie do polskiego obozu. Straż go przytrzymała, kazał się czemprędzej prowadzić do królewskiego namiotu. Nikt go nie po-

znał. Króla zaraz zbudzono i powiedziano mu, że jakiś człowiek przybył do niego w pilnej sprawie. Zerwał się więc zaraz i począł się ubierać, aż tu wchodzi wojewoda Wincenty i pada królowi do nóg. Król był tak na niego zagniewany, że ani gadać nie chciał, ale jak zobaczył jego żal szczery, dał się przebłagać. Wincenty zachęcał króla aby zaraz bitwę rozpoczął, bo krzyżactwo się popiło, to nietrudno będzie dać mu radę, a on dopomoże.

Król kazał cichaczem zbudzić wojsko i sobie podać konia a Wincenty tymczasem powrócił do krzyżackiego obozu.

Wojsko się ruszyło, król naprzód; Krzyżacy jeszcze spali w najlepsze, kiedy im zabrzmiały nad uszami krzyki że Polacy zbliżają się do obozu. Zerwali sie czemprędzej, a ponieważ gęsta mgła nie pozwalała Polakom zaraz uderzyć, mieli czas uszykować się do boju. Wszczęła się bitwa zażarta, Krzyżacy choć wpół senni bronili się dzielnie. Król Łokietek walczył ciągle na przedzie, i choć taki siwy staruszek, siekł mieczem lepiej jak nie jeden młody, i jak błyskawica przelatywał z miejsca na miejsce zagrzewając swoich wojaków.

Ale Krzyżacy ciągle stali jak mur i nie można im było dać rady. Dowodził nimi niejaki Dytryk z Altenburga, także dzielny żołnierz, ten zobaczywszy że źle, bronił się do upadłego. Wincentego nie było widać z pomocą, król już myślał że go znowu zdradził. Aż oto zjawia się niespodziewanie po przeciwnej stronie oddział rycerstwa i uderza z tyłu na Krzyżaków.

Zaraz pomiędzy nimi powstało straszne zamieszanie, parci z dwóch stron nie mogli się długo bronić: kto mógł ratował się ucieczką, drudzy polegli lub się dostali do niewoli.

Tak nakoniec Polacy odnieśli zwycięztwo i Wincenty naprawił trochę tę krzywdę, którą ojczyźnie wyrządził przez swoją zdradę, ale pomimo tego, jego dawni znajomi, sąsiedzi, przyjaciele, ujrzawszy go po bitwie w polskim obozie, odwracali się od niego i usuwali ręce gdy ich chciał przywitać, a tylko król dobrotliwy przebaczył mu wszystko, owszem dziękował mu że się tak gracko spisał i obiecał go przywrócić do dawnych urzędów.

Bitwa pod Płowcami trwała do ciemnej nocy. Nazajutrz król Łokietek objeżdżał pobojowisko zasłane tysiącami trupów nieprzyjacielskich i czemprędzej grzebać je kazał. Pomiędzy poległymi znaleziono też Dytryka z Altenburga i wielu innych znaczniejszych Krzyżaków.

Król Łokietek dotrzymał słowa Wincentemu z Szamotuł i w dowód że już nie ma do niego żadnego żalu, przywrócił go do wszystkich urzędów, które był przez zdradę utracił. On też prowadził odtąd żywot poczciwy i wszelkiemi siłami starał się zagoić biednemu ludowi zadane rany, był dobroczyńcą ubogich i pomocy potrzebujących. Długo, długo jeszcze gryzło go sumienie i wstyd mu było pokazać się między ludźmi, toż siedział samotny w swoim zamku, i chyba kiedy niekiedy do lasu na łowy wyjeżdżał. Ale z czasem dawni przyjaciele przestali odwracać się od niego, owszem nawiedzali go w zamku i do siebie zapraszali. Wówczas zdało się Wincentemu że już wszystko zapomniano, że już i Bóg i ludzie przebaczyli dawne grzechy; dał się więc namówić, że z zamku swego, gdzie dotąd samotny siedział, wyjechał raz na wielki zjazd. Na tym zjeździe było wielu jego znajomych, ale jeszcze więcej takich, którzy go tylko jako zdrajcę znali. Ci krzywem okiem patrzyli na niego, daremnie ich mitygowano. Nieszczęście chciało że Wincenty odezwał się bez myśli z jakiemś słowem które się im nie podobało; zaraz rzucili się na niego i choć drudzy bronili, rozsiekali go w sztuki. Taka to zawsze zdrajcy zapłata.

Waszemu zdrowiu na pożytek.

O zimnicy.

Najpospolitszą chorobą jest zimnica. Choroba ta bardzo męczy i jak się raz w człowieku zagnieździ, to jeżeli się jej zaraz nie zaradzi, może się ciągnąć przez cały rok, a nawet i dłużej. Przez cały ten czas tak wyniszczy chorego, że na nim zostaną skóra i kości, cała twarz zżółknie, tylko brzuch wzrośnie, a po obu bokach ciągle siedzi ból, bo z prawej strony twardnieje wątroba, a z lewej narośnie śledziona i tak

bolą, że nie dadzą ani spać uczciwie, ani chodzić, ani siedzieć. Oj! biedny ten człowiek którego zmogła ta choroba.

Zimnica nie wybiera: czy dzieci, czy starcy, czy mężczyzni, czy niewiasty, czy bogaci, czy ubodzy, wszystko dla niej jedno. Najczęściej nawiedza ona ludzi na wiosnę, zaraz po zimie i w jesieni, w zimie zaś i w upały mało gdzie o niej słychać. Przyczyna tego jest taka:

Jak u nas, tak i na całym świecie są góry, doliny, lasy, łąki, błota, stawy, rzeki itd. Wszędzie jest powietrze, bo bez niego żadne boskie stworzenie żyćby nie mogło. Póty człowiek jest zdrów, póki może oddechać zdrowem powietrzem, ale jeżeli powietrze się zepsuje, to tak dobrze człowiek jak i wszelkie zwierzęta chorują i wymierają, bo wciągając w siebie złe i nieczyste powietrze, zatruwamy w sobie krew i ztąd powstają rozmaite choroby. Otóż zimnica jest także chorobą z otrucia krwi zatrutem powietrzem. Powietrze zatruwa się wyziewami które są bardzo rozmaite, ale te co zatruwają krew i zaraz sprowadzają choroby, są dwojakie: jedne tworzą się ze zgniłych roślin, drugie ze zgniłych ciał wszystkich zwierząt. A że najwięcej roślin gnije w wodzie i błotach, a zwierzęta zaś wszędzie zdechają i gniją, złe więc wyziewy znajdować się mogą wszędzie gdzie są wody stojące, błota, oparzeliska, i gdzie żyją ludzie i zwierzęta.

Zaraz po zimie, kiedy słonko wiośniane wyżej już świeci ziemi a zatem i lepiej ją ogrzewa, wtedy rośliny gnijące w wodach i błotach przez całą zimę, poczynają od ciepła słonecznego zamieniać się w złą parę i para ta wsiąka w powietrze, a kto takiego zatrutego powietrza nałyka się, ten dostaje tej choroby która się nazywa zimnicą. Często też zdala od ludzi, i oparzelisk, bagien i innych miejsc, gdzie są płytkie wody stojące, wiatr sprowadza takie złe powietrze na ludzi. Toż samo co na wiosnę, dzieje się i w jesieni, w lecie zaś podczas wielkich upałów i w zimie gdy jest mróżna to tego wszystkiego nie ma, i dlatego nie bywa u nas zimnicy.

Skoro kto zaraził się złem powietrzem, co krew truje i sprowadza zimnicę, to ona najczęściej nie zaraz się pojawia,

bo potrzebuje czasu żeby się w całym rozsiadła człowieku a nawet w samej zakręciła głowie, a tam jest mózg, co rządzi całą istotą ludzką jak gospodarz całą swoją chudobą. Więc zrazu jakoś człowiek niedomaga, to mu jest źle, to znowu dobrze, to go mgli czasami, że nawet womituje, a samą gorycz i słoność; potem coś go przechodzi po kościach, że sam nie wie co mu jest, aż też zaczyna go trząść, że aż kłapie zębami, a tak mu zimno, że radby wleść w piec gorący, ale napróżno, bo nic nie ogrzeje, a zaraz też okropny ból włazi w krzyże, do kolan, że człek sobie od tego wszystkiego rady dać nie może. Leży też chory i skurczony jak niebożątko, z kolanami pod brodą, tuląc się do poduszki, do pierzyny, a nic nie mówiąc, tylko trzęsąc się i jęcząc. Tak mu jest źle bez mała całą godzinę, albo i więcej, ale potem dzieje się jeszcze gorzej, bo zaraz następuje druga przemiana, z zimna na gorąco, że znowu trudno wytrzymać; wtedy chory wszystko czem był odziany zrzuca z siebie i woła pić, byle czego zimnego. Leży biedak rozpalony jak węgiel, w ustach ma sucho, głowa pali, całe ciało po tak wielkiem zimnie co przeminęło, jest osłabłe i zbolałe, człowiek dyszy w największej gorączce, której nie ochłodzi żadna, choćby najzimniejsza woda. W takim stanie męczą się ludzie godzinę, a czasami dwie i jeszcze dłużej. Dopiero trzecia następuje przemiana a ta już najgorsza, ale za to ostatnia; z wielkiego gorąca następują poty, ale to takie, że choremu zdaje się że albo przemieni się w wodę, albo że w niej cały leży. Wtedy cierpi jak na madejowem łożu, nic nie żąda, tylko w duchu prosi Boga, żeby się nie rozpłynął, żeby to złe zaraz się skończyło, i Bóg też daje, że w godzinę lub dłużej osycha sam przez się i naraz zdrów się zdaje jak ryba. Gdyby się już na tem skończyć miało toby bardzo dobrze było, ale gdzie tam, ta choroba tak jest niegodziwa że powraca nazajutrz, albo na trzeci, czwarty dzień, i to prawie o tej samej godzinie, jakby kto ją zamówił, albo na nią czekał. Ci co dobrze znają się na tej chorobie, wiedzą że zimnica co wraca później jak drugiego dnia, jest najgorsza.

Dzięki Opatrzności a chwała rozumowi ludzkiemu że przeciwko tej strasznej chorobie jest jakie tylko może być najdo-

skonalsze lekarstwo, ale tego lekarstwa samemu sobie zrobić nie można, jeno trzeba iść najprzód do doktora po kartkę, a z kartką do apteki gdzie zrobią lekarstwo za niewielką zapłatę. Ale nie trzeba słuchać bab wiejskich co radzą ni to ni owo, nie trzeba łać w siebie tych paskudztw, które niby mają zaraz pomódz, a nigdy nie pomagają, jeno koniecznie do doktora pójść potrzeba. Chwała Bogu mamy doktorów w każdem miasteczku, a to, co się zapłaci doktorowi i w aptece za lekarstwo, nigdy tyle nie znaczy, co strata czasu i zarobku kiedy się człowiek spuszcza tylko na Opatrzność, albo gdy więcej wierzy głupiej babie, jak uczonemu człowiekowi. Prawda że są choroby na które i najmądrzejszy doktor nie pomoże, ale z zimnicą to co innego.

Powiadają też ludzie że kiedy się zjawi zimnica, to jej zaraz nie trzeba gubić, ale dopiero po kilku dniach. Niech nikt takiej nierozumnej gadaninie nie wierzy i jak tylko dostanie zimnicy niech zaraz idzie do doktora.

Kiedy kogo zimnica trzęsie, trzeba mu prostemi sposobami pomagać, odziewać go lekkiemi a ciepłemi przykryciami, poić dobrze ciepłemi ziółkami z bzowego i lipowego kwiatu; a jak już dostanie gorączki, można mu dawać zimną wodę w małej ilości. Chory powinien być lekko ale dobrze okryty, żeby się w tej przemianie z zimna na gorąco nie zaziębił. Jeżeli dokucza silny ból głowy, to bardzo pomagają zimne okładania z wody i octu. W czasie zaś wolnym od zimnicy, trzeba chorego dobrze żywić, nadewszystko mięsem, trzeba baczyć na to, aby oddechał czystem, zdrowem powietrzem, żeby miał dobrą wodę do picia i żeby się zbytków żadnych w jedzeniu i piciu nie dopuszczał.

A skoro zimnice nie z czego innego powstają jeno z niezdrowych wyziewów, starszyzna gromadzka powinna nad tem czuwać, aby wszędzie gdzie są wody stojące lub stawy zarosłe, i bagniska, miejsca takie zostały zawsze na początku wiosny i z końcem lata osuszone i wyczyszczone, jakoteż aby ludzie zdrowi nie pijali wody ze stawów, z kałuż, jeno ze źródeł i studni.

RÓŻNOŚCI.

Powódź. Rok teraźniejszy na długo pamiętny ludziom będzie z tej okropnej powodzi jaką mieliśmy w przeszłym miesiącu w tej naszej Galicji, albowiem prawie wszystkie większe rzeki wezbrały i wylały straszliwie jako to: Dunajec, Biała, Wisłoka, Wisłok, Wiar, San. Wsie i miasteczka zalane, drogi poniszczone, domy poobalane oto obraz tej strasznej powodzi. Sama kolej żelazna tak została popsutą że trzeba będzie pół miliona reńskich żeby ją naprawić; ileż, ileż by to potrzeba, żeby wynagrodzić te wszystkie szkody i straty jakie ponieśli mieszkańcy wsi przez tę okropną powódź!

Wczesne żęcie zboża. Jak doświadczenie poucza, wczesne żęcie zboża wielce jest korzystnem, a szczególniej żyta, które na dwa tygodnie przed stwardnieniem zbierać można. Wcześnie zżęte zboże i rozłożone na pomiotach lepszą wydaje mąkę niż przejrzałe na pniu; nadto słoma jest pożywniejsza i zdrowsza niż uschnięta na pniu.

Jakto prędko idzie robota w fabrykach. Właściciel pewnej fabryki sukna w Ameryce założył się ze swoim przyjacielem że z wełny dwóch owiec, o piątej godzinie rano ostrzyżonych, będzie miał o dziewiątej godzinie wieczór uszyty surdut. O czwartej godzinie po południu wełna była już uprzędzoną, utkaną, wypłukaną, sukno uwałkowane, postrzyżone, ufarbowane, z prasy wyjęte i krawcowi oddane. W niespełna pół godziny po szóstej surdut był gotowy, a ten co wygrał zakład, ubrał się w niego i poszedł pokazać się przyjacielowi. Obydwie owce zaraz upieczono na wieczerzę dla robotników fabryki, a za to że się tak prędko z robotą uwinęli dostał każdy garniec dobrego piwa.

Ściółka leśna. Wielkiej zbrodni na lesie dopuszczają się leśniczy, zabierając ściółkę z lasu, lub pozwalając drugim takową zabierać, a jednak widzimy w wielu miejscach to nadużycie. Tu biorą ściółkę dlatego, bo taki zwyczaj jest od niepamiętnych czasów, tam znowu dlatego bo na to prawa dawne pozwalają. Za dawnych czasów gdy lasów było znacznie więcej jak dziś, i nikt o nie nie dbał, pozwalano chłopkom grabić ściółkę, ale dziś kiedy coraz więcej lasów z ziemi naszej niknie, grabienie ściółki leśnej powinno być zakazane. Jeżeli chcecie wiedzieć dlaczego, to wam powiem że ściółka leśna ochrania korzenie drzew, utrzymuje w ziemi wilgoć, maści grunt i poprawia go, i wtedy tylko drzewa rosną bujnie, gdy mają ściółkę obfitą. Oprócz tego ściółka użycza dziczyźnie, sarnom i zającom przyjemnego legowiska i pożywienia, a skoro się ściółkę z lasów zabierze, to i zwierzęta je opuszczają. Ale mniejsza już o zwierzęta. Gorzej, że jak lasów nie stanie to nie będzie z czego chaty postawić. Trzeba więc lasy ochraniać i nie zabierać z nich ściółki którą sobie drzewiny posiały wcale nie na to aby im ją człowiek zabierał.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.